

# W górę rzeki...

Piotr Opacian

Tam, gdzie kondor wielki szybuje w podmuchach lodowatego wiatru nad ośnieżonymi szczytami Cordillery Apolobamby, bierze swój początek rzeka wielu zagadek – Rio Madidi. Tam, gdzie jej wody niczym jedwabna apaszka zsuwają się po pokrytych coraz gęstszą dżunglą andyjskich stokach, ciągle żywa jest legenda złotego miasta zwanego Paititi. Tam miało się schronić tajemnicze plemię białych Indian, tam ukrywać się ma enigmatyczny małpolud znad Madidi, tam...

## Dwie różne rzeki – dwa różne światy

Kiedy dziesiątego dnia po pięciuset kilometrach wiosłowania w dół Beni docieram do ujścia Rio Madidi, mogę wreszcie rozpocząć właściwy etap mojej tegorocznej eskapady – wędrówkę ku źródłom tej tajemniczej rzeki. Opuszczając Beni i wpływając na Madidi żegnam się ze światem wielkiej, otwartej przestrzeni wody i ciągnących się setkami metrów piaszczystych łach, zza których majaczy tylko w oddali dżungla, żegnam się ze światem, który zdążyłem już dobrze poznać, by zagłębić się jak najdalej w świat nie do końca jeszcze poznany – krainę pokolorowaną farbami natury gdzieś w odległych Andach wą-



For. Piotr Opacian

*W zimny dzień bez maravi mogę pozwolić sobie na sesję foto.*

skiej wstęgi, wijącej się pośrodku bezkresnej, zielonej dżungli. Ona to, kilometr po kilometrze, coraz ciaśniej opasuje rzekę i dominując wysokimi drzewami nad wąskim biegiem Madidi obwieszcza wszem i wobec, że jest tu jedyną władczynią. Rzeka ciągle się odgrza. Jej nurt to istne pobojowisko usłane martwymi drzewami. Część z nich wystaje ponad wodę niczym sterczące w piachu pustyni, wysuszone na słońcu kości – te są niegroźne. Tych niebezpiecznych nie widać, tak jak nie słychać pocisku, który nas dosięga. Najgorsze są konary z ostrymi jak igła i długo niebutwiejącymi kolcami. Im może ulec nawet najodporniejszy materiał poszycia. Gdy rozpędzony, niesiony prądem Rio Beni wpadam w ramiona Madidi, ta zdaje się szeptać mi do ucha: nie oddam ci się łatwo, jeśli w ogóle. Szepcze też dżungla wokół mnie, lecz by zrozumieć, o czym mi opowiada, będę jeszcze musiał się sporo nauczyć. Rozpoczyna się wielka przygoda, której finał trudno przewidzieć.

## Maravi z piekła rodem

Na pierwszym noclegu nad Madidi ustaliam nowy rozkład dnia. Zeterminowany jest on w dużej mierze meszkami, zwanymi lokalnie maravi, których są tutaj miliony. Stają się one moim największym niebezpieczeństwem, przy którym zupełnie zapominam o komarach, wrogiem, który sprawia, że ten tropikalny raj staje się często piekłem. Są aktywne od wschodu do zachodu słońca nie dając chwili wytchnienia i tylko silny wiatr lub bardzo zimny dzień sprawiają, że maravi znikają. Pomimo upału i duchoty, nawet w kajaku ubrany jestem zwykle w długie spodnie, skarpetki, bezrękawnik, mam w pogotowiu koszulę z długim rękawem i coś na głowie. Bezrękawnik jest dużą ulgą i potwierdza, że maravi nie przepadają za poruszającymi się obiektami; wystarczy,



Fot. Piotr Opacian

Jeden z biwaków nad Madidi.

że na chwilę przestanę wiosłować i na moich ramionach lądują ich dziesiątki. Niestety, walcząc mozolnie z prądem w tych warunkach mocno się pocę i choć wokół mnie mnóstwo wody, to na chłodzącą kąpiel rzadko się decyduję. Tracąc dużo wody muszę też dużo pić, co oznacza dodatkową pracę: filtrowanie. Praca niestety dość statyczna, wykonuję ją więc w nocy lub w chwilach determinacji piję wodę prosto z rzeki.

Odtąd będę wstawać o 5. by do 7., o której wschodzi słońce, zdążyć rozpalić ognisko, przygotować poranny posiłek, zjeść, ugotować posiłek na cały dzień, spakować się i wypłynąć ścigany już przez pierwsze córy piekła. Dziennie wyznaczam sobie do przepłynięcia dystans około dwudziestu kilometrów, co – biorąc pod uwagę, że to pod prąd, który tylko miejscami leniwym się staje – wydaje mi się założeniem dość ambitnym. W ciągu dnia robię jedną lub dwie przerwy na posiłek, w tym samym czasie suszę namiot. Czasami decyduję się wykąpać, ale wtedy zaczyna się szaleńczy wyścig z maravi. Wycieczki w dżunglę są przyjemnością – tam nie ma maravi, są tylko komary. Codziennie przed zmrokiem czeka mnie nieprzyjemne zadanie: muszę przygotować drewno na

poranne ognisko. Ważne jest to nie tylko dlatego, że o 5. rano jest ciemno, ale dlatego, że noce są bardzo wilgotne i trudno jest po nich rozniecić ogień. Wieczorem drewno jest bardzo suche, kiedy więc porąbane przykryję brezentem, rano wystarczy jedna zapałka i ognisko jest gotowe. Niestety przed zachodem maravi są najaktywniejsze, a ja po drewno muszę najczęściej płynąć na przeciwległą stronę skarpy – nad Madidi na łachach niestety go nie ma. Taplam się w błocie przynajmniej po kolana – z konieczności w krótkich spodenkach, a maravi sobie na mnie używają. Oj, ciskam wtedy na prawo i lewo nieocenzurowanymi słowami najcięższego kalibru, ale to jedyny sposób, w który mogę sobie ulżyć. Znajomość z maravi, ku mojej rozpaczy, staje się zażyłą i weźmiemy ze sobą rozbrat dopiero na Beni.

### Kiedy kolor szmaragdowy zamienia się w kawowy

Madidi, tak jak Beni, to tzw. biała rzeka, czyli rzeka, którą barwi na kawowo ilasty materiał erodowany w Andach. Madidi jednak potrafi zrobić to, o czym Beni się nawet nie śni. W porze suchej, kiedy na wschodnich stokach

Cordillery Apolobamby rzadko pada, Madidi ma stosunkowo słaby prąd i tak mało wody, że niesie wtedy bardzo mało osadów i przybiera szmaragdowy kolor. Woda nabrana do menażki jest prawie krystalicznie czysta i picie jej bez filtrowania wydaje się naturalne. Na niektórych odcinkach, już od jej środkowego biegu, koryto o szerokości 30-40 m to łacha pokryta 50-60 cm wody i przecięta dwu-, czasami nawet tylko półtorametrowym kanałem o głębokości jednego do dwóch metrów. W takich chwilach rzeka uchyla nam rąbka tajemnicy, pozwalając zajrzeć do jej wnętrza. Holując kajak i rozglądając się wokoło prawie staję na płaszczce rzecznej, zwanej też słodkowodną (prawdopodobnie: Potamotrygon castexi), która posiada na końcu ogona jadowity kołec i którym, choć nie stanowi on zagrożenia dla życia człowieka, mogła mi zadać dotkliwy ból. Prawie spod mojej stopy wolno odpływa dając się ponieść nurtowi. Innym razem mijam na wyciągnięciu wiosła parę półtorametrowych ryb, których nie jestem w stanie zidentyfikować. Ustawione pod prąd wolno machają ogonami, by pozostać w tym samym miejscu. Przepływam też nad żółciem, prawie go dotykając, bez reakcji z jego strony.

Gdy niebo nad Madidi pokryje się chmurami możemy być pewni, że wysoko w Andach pada deszcz. Te ulewy, tam w górach, tu na rzece oznaczają silniejszy nurt (zła wiadomość dla kajakarza płynącego pod prąd), podniesienie się poziomu wody i zmianę jej koloru. Madidi staje się kawowa i okrywa swą toń nieprzeniknionym całunem. To, że w jej wnętrzu tętni życie, zdradzają pluski oraz zmarszczki na powierzchni w kształcie strzałki przesuwające się z niewiarygodną szybkością. To kajmany przesuwające się jak pociski pod powierzchnią oraz olbrzymie grzbiety ryb przecinające tafle wody. Płynąc tą nieprzeniknioną, ale płytką wodą wielokrotnie dnem kajaka napływałem na duże stworzenia leżące na dnie. Bardzo ciekawa jest reakcja kajmana,



Fot. Piotr Opacian

Wzdłuż strugi, śladami zwierząt...

### SPŁYW W PIGUŁCE

#### Termin

05.07-26.08.2005 r.

#### Trasa

Rio Beni od Rurenabaque do Riberaltę – jako sposób na dostanie się i wydostanie się z Madidi. Madidi w górę blisko 450 km i powrót w dół rzeki, łącznie około 1800 km.

#### Trudność i uciążliwość

Głównie związane z lokalnie silnym prądem i niskim stanem wody (ciągnięcie kajaka), dużą ilością zwalonych do rzeki drzew i maravi.

#### Noclegi

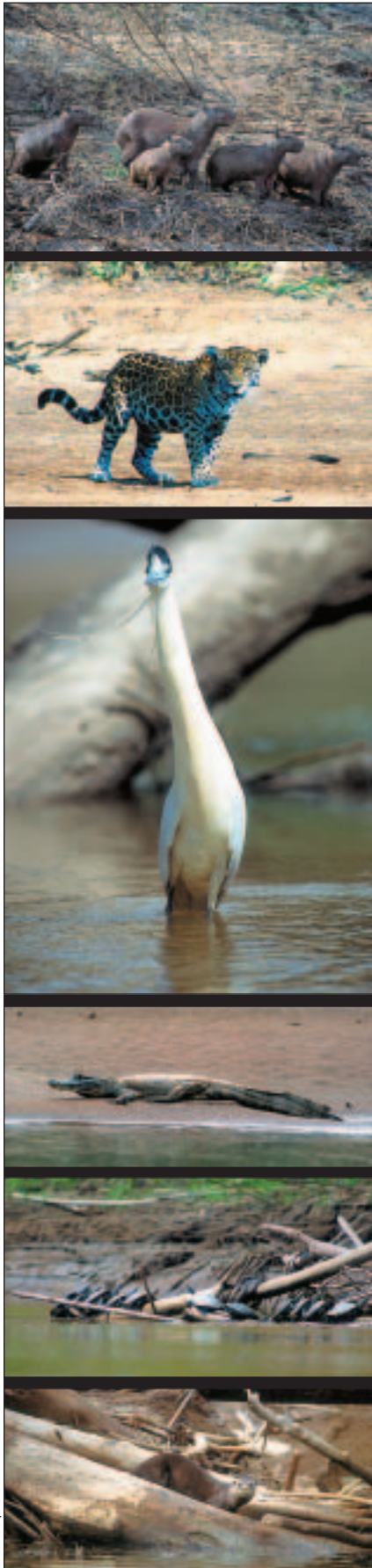
Najczęściej na łachach. Rzadko na przeciwległych skarpach.

#### Żywność

Głównie ryż z konserwami i solonym mięsem, zwanym lokalnie czarki. Duże ilości owoców na terenach zamieszkałych.

#### Sprzęt

Kajak składany „Harpoon” polskiej firmy Wayland.



Fot. Piotr Opacian

choć w przypadku dużego osobnika może okazać się raczej traumatycznym doświadczeniem. Osobnik, na którego się napłynię, zamienia się w korkociąg, w ten sposób próbując wydostać się z opresji. Spotkania te, na szczęście z małymi osobnikami, powodowały tylko zachwianie kajaka, wolę jednak nie myśleć co by się stało w przypadku osobnika trzy- lub czterometrowego. Można jednak chyba takich spotkań uniknąć, bo zdarzały mi się one tylko wtedy, gdy płynąłem wieczorem.

Madidi jak prawdziwa kobieta lubi częste zmiany, więc kolory swych szat ze szmaragdowego na kawowy i z kawowego na szmaragdowy niejednokrotnie zmienia. Wahania poziomu wody temu towarzyszące są całkiem spore i roztropny kajakarz powinien taką ewentualność zawsze brać pod uwagę. Pewnego pochmurnego i parnego dnia, dzień po zawróceniu (blisko więc Andów), kiedy ulewa z burzą byłaby zbawieniem, a spadło na ziemię tylko kilka kropli deszczu, nie mogąc znaleźć nic lepszego rozbiłem obóz na łasze wznoszącej się metr nad poziomem rzeki. Z oddali słychać było burzę i można było być pewnym, że wysoko w Andach szaleje ulewa. Pytaniem bez odpowiedzi, ale tylko przez kilka godzin było, jak dużo wody zejdzie z gór i czy zaleje moją łachę. Nie pozostało mi nic innego, jak przywiązać kajak do namiotu i pogрузić się w tak zwany stan czuwania-drzemania. Do ewakuacji zmuszony byłem około 1. w nocy. Był to najwyższy stan wody i najsilniejszy prąd na Madidi w trakcie mojej eskapady – jak dobrze, że był moim sprzymierzeńcem.

### „W Campo Brabo musisz odwiedzić Mateo”

Na odcinku 123 kilometrów, od ujścia do samotnego gospodarstwa zwanego Campo Brabo, rozciąga się wzdłuż rzeki siedem osad. Nie wszystkie są widoczne z brzegu. Do największej z nich – La Esperanzы – wiedzie przez rzadki las kilkusetmetrowa ścieżka. Gdyby nie kilka łodzi przycumowanych do brzegu, można by łatwo przeoczyć wspinając się po skarpie i ginącą za jej załosem ścieżkę. W La Esperanzie, choć poza rzeką nie ma ona żadnego połączenia z resztą Boliwii, jest szkoła i telefon satelitarny. W niektóre wieczory miesz-

kańcy oglądają wspólnie filmy wideo, można porównać to do kina objazdowego, prąd pochodzi z agregatu na ropę. Zaglądam tu, by dowiedzieć się więcej o jakimś etnografie, który zaginał nad górnym Madidi kilka lat temu, a o którym dowiedziałem się od mijanych na rzece tubylców. – Szczegóły znają mieszkańcy Esperanzы – wszyscy powtarzali.

– Buenos dias – mówię do starszej kobiety, kiedy dochodzę do pierwszego zabudowania. Zza rogu wygląda młody mężczyzna. Nazywa się Pedro Itur, pozdrawia mnie, zaprasza bym usiadł pod dachem z palmy i prosi ową kobietę, by przyniosła mi refresco, czyli coś chłodnego do picia. Zostaję uraczony chłodnym, mimo tego, że nie mają tu oczywiście lodówek, sokiem z grejpfrutów. Ilekroć piję świeży sok z grejpfrutów tu w dżungli, czuję się jak w niebie i nie rozumiem, dlaczego we wszystkich innych miejscach, gdzie go pijam, jest taki gorzki...

Do Fridy Louisa, uczestnika poszukiwań Larsa Hafsjolda, Pedro Itur prowadzi mnie okrężną drogą pokazując całą wioskę. – Tutaj jest sporo naprawdę ładnych dziewcząt – mówi, gdy mijamy szkołę i uśmiecha się do mnie znacząco. – Zapewne – przytakuje szczerze, bo te indiańskie rysy młodych dziewcząt bardzo mi się podobają. Kiedy tutejsze kobiety się starzeją szybko tracą urodę, ale młode chicas są naprawdę atrakcyjne. Przed domem Fridy Louisa zbiera się spora grupka mieszkańców Esperanzы, by przysłuchać się naszej rozmowie i dorzucić od czasu do czasu swoje trzy grosze. Lars był biologiem z wykształcenia i etnografem z zamiłowania. Pracował w Boliwii dla Conservation International, a także dla CARE. Bardzo interesował się przekazami o indiańskim plemieniu, które wycofało się na niedostępne tereny górnego Madidi i unika kontaktu z cywilizacją. Według jednej legendy ma to być plemię nieustraszonych kobiet-wojowniczek (czyżby kontynuacja mitu o Amazonkach?), według innej biali Indianie. Nad górnym Madidi ma także znajdować się legendarne złote miasto – Paititi (El Dorado). Informacje te nie tylko przekazywane są z pokolenia na pokolenie, ale można je też znaleźć w kronikach znajdujących się w Ixiamas – osadzie założonej już w siedemnastym wieku. Lars odbył wiele wypraw na te tereny, często





Fot. Piotr Opacian

*Typowy odcinek dolnego Madidi.*

samotnych, by te zagadki rozwiązać, niestety z ostatniej nie powrócił. Poszukiwania koordynowane przez norweski konsul nie dały żadnych rezultatów.

Madidi, dawniej zwana Nagimi, i jej dorzecze to obszar ciągle jeszcze nie do końca poznany. Wiele obszarów dżungli, położonych z dala od rzeki, nie zostało jeszcze przetartych przez białego człowieka. Nawet sama rzeka i jej dopływy nie wyglądają tak samo na różnych mapach. Różnice te wcale nie dotyczą tylko szczegółów, ale ogólnego zarysu biegu samej rzeki. Mimo powszechnego dostępu do zdjęć satelitarnych, obszar górnego Madidi ciągle nie może się doczekać map topograficznych z prawdziwego zdarzenia. Stąd wynika zapewne ta dowolność biegu rzeki na mapach ogólnych. Na tak dzikich terenach całkiem możliwe jest ukrywanie się jakiejś grupy plemiennej Indian, która chce uniknąć kontaktu z cywilizacją. Według zajmujących się tym problemem badaczy panuje przekonanie, że to odłam Toromonów.

Gdy po długich rozważaniach na temat losu Larsa opuszczam osadę, odprowadzający mnie Pedro mówi na pożegnanie: – Ostatnim punktem osadniczym nad Madidi jest Campo Brabo, gdzie mieszka Amerykanin Mathew Nichols z rodziną, musisz go odwiedzić. – Tak, słyszałem już o nim – odpowiadam – i na pewno się u niego zatrzymam. – Za Campo Brabo nie ma już żadnych osad, tylko setki kilometrów dziewiczej dżungli – dodaje Pedro, znając moje plany. – Uważaj! Oczywiście ludzie tam pływają, więc natknieš się na ślady po obozowiskach, ale o tej porze roku nie możesz liczyć na żadną pomoc.

### „Tu znaleźliśmy nasz dom”

Campo Brabo to tylko jedno gospodarstwo! Zaskoczyło mnie to, bo spodziewałem się jakiejś małej wioski. Osiedlił się tu Mateo Nichols ze swoją żoną Tanją i dziewięciorgiem dzieci. Obecnie mieszkają z nimi Charlotte i Twila – dwie młode kobiety z zaprzyjaźnionej rodziny spod Iximas. Wszyscy głęboko wierzą w Boga. Historia Mateo i jego rodziny jest długa i burzliwa. Po latach tułaczki, w trakcie której naj-



Fot. Piotr Opacian

*To tu urządzili się Nicholsowie.*

częściej był daleko od jakiegokolwiek wiary, Mateo odnalazł Boga i właściwe miejsce dla swojej rodziny. Przeciwny jest jakiegokolwiek przynależności religijnej. – Tworzenie rozbudowanych hierarchii kościelnych to odrzucenie jedynej prawdziwej drogi, którą jest Chrystus – mówi. – Przepych i bogactwo stają się głównym celem – kończy. Patrząc na drogę, którą wybrał, trudno mu zarzucić obłudę.

Od dwóch lat Mateo powoli „urządza się” w Campo Brabo. Mają już stado świń, kozy i cielną krowę. Powiększają sukcesywnie plantację, na której uprawiają banany, fasolę, kukurydzę, ryż. W przyszłości chcą też doczekać się własnego cukru. – Walka z dżunglą o ziemię nie jest łatwa – mówi Mateo, wskazując na właśnie mijane wejście do gniazda mrówek grzybiarek (*Acromyrmex* sp.) z wyraźną, wydeptaną ścieżką prowadzącą w głąb plantacji. – Teraz są już bardzo mało aktywne, czasami przez kilka dni nie ma po nich śladu – opowiada Mateo. – Chyba dały za wygraną, ale na początku cięży liście wszystkiego, co sadziłem – wspomina. Grzybiarki tną i transportują do swoich gniazd liście nie dlatego, by je spożywać – ich organizmy nie są w stanie strawić celulozy. Liście te po przeżuciu i zmieszaniu ze śliną mrówek stanowią pokarm dla grzybów hodowanych przez grzybiarki. Dopiero grzyby stanowią pokarm mrówek. Jak widać, hodowla została wynaleziona na długo przed człowiekiem.

U Mateo każdy jest mile widzianym gościem, ale choć nalegają, ze względu na uciekający czas mogą spędzić z nimi tylko jeden dzień – dzień powrotu do czasów naszych pradziadów. Wstajemy z brzaskiem, mężczyź-



Fot. Piotr Opacian

*W opuszczonym obozie San Sim.*

ni obchodzą gospodarstwo, rąbią drzewo, rozpalają w piecu. Kobiety doją kozy i przygotowują śniadanie. Dzieci zajmują się karmieniem zwierząt. Siadamy do śniadania. Na środku wielka miska z ryżem i druga z rybą, jest też dzbanek z wodą. Przed jedzeniem obowiązkowa wspólna modlitwa i rozmowa z dziećmi. Po śniadaniu płyniemy na drugą stronę rzeki do nowej plantacji Mateo. Wieczorem po kolacji dzieci idą spać, a dorośli rozmawiają. Rozmawiają o Chrystusie, o tym, co jest najważniejsze w życiu i o tajemniczych potworach tego zakątka Amazonii. Życ ma tu małpolud znad Madidi – duży podobny do człowieka stwór, którego widziała raz Twila! Życ mają tu olbrzymich rozmiarów kajmany, dla których mój kajak jest dziecinną zabawką. Życ mają tu potwory przypominające dinozaury z czasów mezozoiku. Życ mają tu... Napędzili mi stracha.

### W tajemniczym „ogrodzie”

Następnego ranka zostawiam z sobą ostatni punkt cywilizacji na Madidi – zagrodę Mateo. Jestem podniecony, ale tli się we mnie płomyk niepewności i obawy. Rzeka i teren przyległy do niej nie jest oczywiście obszarem, na którym nie stanęła stopa człowieka. Indianie pływają w górę Madidi – głównie po drewno. Dzieje się to jednak w porze deszczowej, gdy spław jest możliwy, w porze suchej natomiast na rzece jest pusto. Rzeczywistość potwierdziła te informacje: w cza-



Fot. Piotr Opacian

Gromadka młodych Nicholsów.

sie mojej 24-dniowej walki na tym odcinku rzeki minęły mnie tylko dwie indiańskie łodzie. Jednak im dalej od rzeki, tym bardziej dziko i tutaj na pewno są tereny, których nie spenetrował jeszcze biały człowiek. To gdzieś tam w zielonej gęstwinie – a im dalej byłem od Campo Brabo, tym bardziej ta świadomość do mnie docierała – mogą znajdować się rozwiązania do wszystkich zasłyszanych tajemnic. Gdy wieczorem schowany w namiocie samotnie przysłuchiwałem się głosom oddalonych ode mnie o 10-15 m dżungli, gdy zbyt uporczywe odgłosy dochodzące z krawędzi zarośli wywabiały mnie z namiotu tylko po to, by w świetle latarki zmaterializować się w niewiele więcej mi mówiące wpatrzony we mnie ślepią, płomyk niepewności rozpałał się gwałtownie do dużych rozmiarów ogniska. Takie to były noce nad Madidi, noce, których nigdy nie zapomnę.

Poza tajemnicami, o których jakże inaczej się myśli przy świetle lampy elektrycznej z przyjacielem u boku, region ten słynie z wielkiego bogactwa i wielkiej różnorodności fauny i flory. Choć zasięg króla Amazonii – pumy once (czyli jaguara) kurczy się, a liczebność populacji szybko spada – zbyt szybko, tu ma się bardzo do-

brze. Żaden wszytkowiedzący indiański przewodnik nie powiedziałby mi do siebie tylko znane miejsce, bym zobaczył jaguara, a i tak spotykam go kilka razy. Brzegi Madidi dosłownie zasłane są jego śladami. W nocy dwukrotnie podchodzi na 10-15 m do mojego obozu. Ku mojej radości spotykam jaguara także w biały dzień. Całkiem inaczej wyobrażałem sobie takie spotkanie. Bądź co bądź to nie lwy widziane na sawannie w czasie afrykańskiego

safari z terenowego jeepa. Spodziewałem się przelotnego widoku jaguara przemykającego wzdłuż nadbrzeżnych zarośli. Kiedy go ujrzałem leżał na skraju traw. Pomyślałem, że za moment chyłkiem pomknę w stronę zarośli i szybko zacząłem się zbliżać w jego kierunku. On jednak nie myślał uciekać – przeciwnie – zaczął także iść w moim kierunku. Odległość między nami zaczęła się powoli kurczyć i gdy nie przekraczała ok. 25 m jaguar przysiadł i zaczął się powoli czołgać w moją stronę. Moja radość przemieniła się w strach i osłupienie. Zaciśnąłem rękę na strzelbie i zacząłem groźnie pokrzykiwać pamiętając rady dawane mi przez Indian. Kamień spadł mi z serca, kiedy wolno podniósł się i odszedł w stronę traw. Stamtąd bacznie obserwował jak z ulgą powoli się wycofywałem.

Dżungla nad środkowym i górnym Madidi jest jak tajemniczy ogród tętniący życiem, pełen zwierząt, które spotykam na każdym kroku. Płynąc wsłuchuję się w jej odgłosy. Powoli uczę się rozpoznawać zwierzęta po dźwiękach, które wydają. Dzień pełen jest śpiewów ptaków. Z dżungli dochodzą odgłosy buszujących pekarzy z charakterystycznym poszczekiwanym wydawanym przez uderzenie górnych i dol-

nych kłów. Słychać odgłosy różnorodnych małp, z których najbardziej spektakularny jest ten wydawany przez stado wyjców rudych. Tworzą chór, który zlewa się w jeden głos przypominający raczej wycie wiatru lub wielką bestię niż małpy. Próbuje zbliżyć się do zwierząt, które słyszę, co stawia mnie czasami w dość niebezpiecznej sytuacji. Nad Madidi można spotkać w biały dzień nawet tak typowo nocne zwierzęta jak tapiry, zwane tu anta. Słychać je jednak głównie w nocy. Wydają charakterystyczny gwizd, którym się nawołują. Najaktywniejsze są między 24. a 2. Tubylcy opowiadali mi, że jaguary potrafią naśladować te gwizdy, by zwabić antę w pułapkę. – Ale jak odróżnić gwizd jaguara od gwizdu tapira? – pytałem. – Gwizdu nie odróżnisz, ale jaguar nie hałasuje, a anty tak – odpowiadali. Nigdy jednak nie próbowałem tego robić.

Mijał dzień za dniem... Ze swoim jedynym towarzyszem – harpoonem – przemierzałem kolejne kilometry w górę rzeki. Mijała noc za nocą, które przesypane były z maczetą po lewej i strzelbą po prawej, szczęśliwy, że nie musiałem ich użyć przeciw niczemu i nikomu, bo wiem kto był tam u siebie, a kto intruzem? Przez te kilka tygodni to był mój dom, a gdy przyszedł czas powrotu do cywilizacji, ze smutkiem składałem kajak, choć wiem, że jeszcze tam powrócę...

**WIOSŁO**

Autor dziękuje Miastu Kwidzyn i firmie Wayland za pomoc w organizacji wyprawy.



Patronat medialny



**TYLKO 1590 PLN**



**ZADZWOŃ:**

**0 58 347 79 22, 0 604 60 90 80**  
**AQUARIUS@AQUARIUSPORT.COM**

the wave